

1 października świat kultury obchodzi doroczne święto muzyki. To dobrze, bo muzyka, ta prawdziwa, artystyczna – nie jakaś dźwiękowa siecinka, czy tapeta wypełniająca handlowe galerie, sącząca się nieustannie w innych miejscach publicznych – wciąż jest niedoceniana przez szersze rzesze społeczeństwa. W bezpłatnym, bardzo kolorowym „Salonie kulturalnym”, piśmie wydanym przez Kolporter Holding sp. z o. o., które dumnie nazywa siebie „Przewodnikiem po nowościach książkowych i filmowych” nie znalazłem ani słowa o muzyce klasycznej. Dla wydawcy muzyka to tylko folk, country-blues, rock, biesiady, rosyjskie, góralskie stare polskie tanga itp., itd. itp.

Poniższe rozmowy zostały opublikowane na łamach "Gazety Współczesnej" z 2-4 X 1981 roku. Dają one obraz stosunku do muzyki melomanów sprzed kilkudziesięciu lat, a także zupełnie innych realiów.

### **Muzyka wyznacza rytm naszego życia**

[„Gazeta Współczesna”, nr 197 z 2-3-4 X 1981]

1 października cały świat obchodzi Międzynarodowy Dzień Muzyki. W tym dniu ze szczególną uwagą zwracamy się w stronę muzyki i ludzi związanych z nią zawodowo. Oddajmy tym razem głos nie muzykom, lecz słuchaczom. Dla nich powstały dzieła i arcydzieła, chociaż bywało, że nie od razu je przyjmowano, a czasem nawet wykipowano. Bez słuchaczy nie byłoby także muzyki, bo kompozytorzy nie mieliby adresata a wirtuozi i orkiestry - audytoriów,

Cztery rozmowy przeprowadzone z białostockimi melomanami zaświadcza o nieprzemijającej potędze muzyki, o jej funkcjonowaniu w życiu ludzi starszych i zupełnie młodych, o różnorodnym jej rozumieniu, odczuwaniu i wykorzystywaniu. O jej znaczeniu i wpływie na trud, twórczość i zdrowie człowieka, słowem – o jej potrzebie dla prawidłowego funkcjonowania organizmów ludzkich i społecznych.

### **Rozmowa z Mikołajem Sakowiczem, nauczycielem Zespołu Szkół Elektrycznych w Białymstoku i jego matką.**



– Jak sięgam pamięcią, obecność Państwa na koncertach towarzyszy dziejom życia muzycznego Białegostoku. Przyznam się, że jeżeli nie widzę czasami Państwa, to czegoś mi brakuje, nawet gdy koncert jest bardzo udany. Dlaczego właśnie muzyka jest tak ważna w życiu Państwa?

– Wydaje nam się, że życie muzyczne Białegostoku zdominowały pozostałe dziedziny artystyczne. Koncerty odbywają się przecież bardzo regularnie; najczęściej raz w tygodniu Filharmonia proponuje coś nowego – to wciąż. Tego nie ma w teatrze. Kiedyś były Festiwale Muzyki i Poezji, które proponowały również znanych

aktorów. Był wtedy u nas Holoubek, Englert, Bardini. Czy teatr nasz proponuje nam coś równie atrakcyjnego? Pozostaje zresztą wiele do pokazania i w dziedzinie muzyki. Nie słyszeliśmy przecież jeszcze np. Chóru Stuligrosza i Krystiana Zimmermana...

– Może dlatego sala koncertowa świeci łysinami pustych foteli? Najchętniej jednak tłumaczy się spadek frekwencji uciążliwościami codziennego życia, kolejkami, fatalną komunikacją miejską itp.

– Aczkolwiek my również stoimy w kolejkach, to muzyka właśnie pomaga zapomnieć o tym, ułatwia oderwanie się od tych ciemnych stron życia. Regularna działalność Filharmonii niejako upewnia nas, że jeszcze nie jest najgorzej. Nie daj Boże, gdyby tak zamknęli Filharmonię! Dopiero wtedy człowiek by poczuł, że stało się naprawdę coś tragicznego na świecie. Muzyka jest dla nas chlebem powszednim, wyznacza nam rytm życia.

**Zaskakuje nas brak młodzieży artystycznej na koncertach. Czy można się dziwić, że uczniowie innych szkół także omijają Filharmonię? Samo tylko zaprogramowanie koncertów dla młodzieży, a następnie zaprowadzenie jej na salę koncertową nie wystarczy.**

– Wskazuje się także na inne czynniki zatrzymujące potencjalnych słuchaczy i widzów w domach – telewizję, płyty, stereofoniczne koncerty radiowe...

– **Nas to nie zatrzymuje, chociaż mamy płyty, nagrywamy na taśmę niektóre koncerty i oglądamy telewizję. Atmosfery żywego koncertu, obecności podobnie odczuwających i przeżywających ludzi nic nie jest w stanie zastąpić. Chodzimy na koncerty razem, by jeszcze na gorąco podzielić się wrażeniami. Słuchając płyty czy radia nie mamy tej pełni, bogactwa przeżyć, co na sali koncertowej nawet, jeżeli samo wykonanie nie jest tak doskonale. Dlatego też „ciągniemy” do Filharmonii ze sobą, kogo tylko możemy, znajomych, przyjaciół. Im więcej osób na sali wokół nas, tym czujemy się bogatsi samą muzyką i ową współobecnością innych, podobnych nam słuchaczy.**

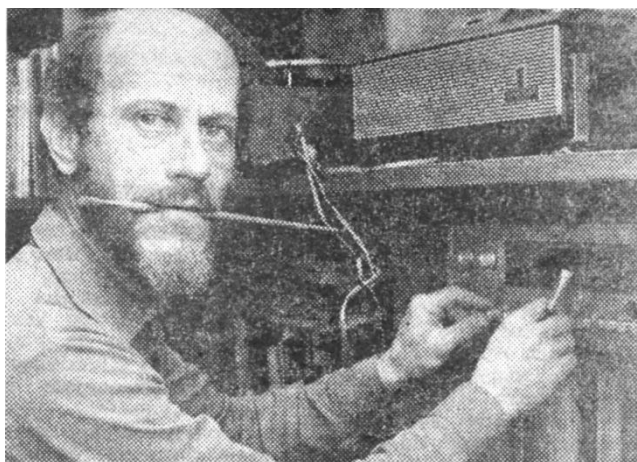
– Gdyby Filharmonia powierzyła Państwu zadanie ułożenia repertuaru całego sezonu lub jego części, to jaką muzykę włączylibyście do sezonu koncertowego, kierując się, oczywiście, własnymi upodobaniami?

– **Wiemy, że ci, co układają programy muszą wychodzić z różnych założeń, kierując się tym, co modne, lubiane czy co wartościowe, co należy włączyć do repertuaru. Chętnie posłuchalibyśmy muzyki operowej, w jakichś pełniejszych przekrojach; wiadomo, że białostocczanie pozbawieni są takich możliwości, jak mieszkańcy Warszawy, Łodzi czy Poznania. Chyba wszyscy poszliby na montaż opery *Straszny dwór* bądź *Halka*. Chcielibyśmy też posłuchać, jak wspominaliśmy, Chóru Stuligrosza i wreszcie Zimermana. A tak na marginesie: wolelibyśmy, aby omówienia programów nie były takie szczupłe, żeby było tam więcej materiału, nawet ilustracyjnego. Może mamy zbyt wygórowane wymagania, ale zbieramy te programy i stanowią one swego rodzaju pamiątkę, ślad po koncercie, na którym się było i coś przeżyło.**

– Jesteście Państwo związani z życiem muzycznym Białegostoku od jego powojennego startu...

– **W Białymstoku mieszkamy od 1940 roku. Byliśmy na pierwszych koncertach orkiestry prowadzonej przez Kazimierza Złockiego; przeżyliśmy to jako wielki awans kulturalny Białegostoku. Potem wędrowaliśmy za tą orkiestrą po jej kolejnych siedzibach. Pamiętamy też pierwsze koncerty plenerowe i do dziś wykonywaną wtedy *Suitę* Tomasza Kiesewettera. Dzisiaj wydawać się to może nawet śmieszne, taki repertuar dla Filharmonii, z którą występuje Kulka, gdzie grał Richter.**

## **Rozmowa z Tadeuszem Gajem, artystą plastykiem.**



– **Moja inicjacja muzyczna odbyła się w sposób nieco humorystyczny. Nauczyciel łaciny i języka niemieckiego w kieleckim liceum, gdzie się uczyłem, był zagorzałym melomanem. On właśnie rozprawdzał bilety na szkolne koncerty, opowiadał nam o kompozytorach. A my, nie chcąc się uczyć niemieckiego, przebieg lekcji sprowadzaliśmy zawsze na tematykę muzyczną, wpytując go szczegółowo o najdrobniejsze muzyczne sprawy. Z tego też względu chodziliśmy na wszystkie koncerty Oczywiście niemieckiego nie nauczyliśmy się, ale staliśmy się**

**melomanami.**

– Do Białostockiej Filharmonii raczej nie chodzisz, ale wiem, że muzyka odgrywa w Twoim życiu twórczym ważną rolę. Czym ona jest, czym może być dla artysty plastyka?

– Jako plastyk cały czas odczuwam kompleks wobec muzyki, która jest – według mnie – idealną sztuką, sztuką będącą w stanie przekazywać pewne sprawy refleksyjne, treści, ale przede wszystkim idee środkami całkowicie abstrakcyjnymi, co jest właściwie nieosiągalne w pozostałych dziedzinach sztuki. Wynikałoby z tego, że muzyka jest niejako "matematyką sztuk", syntezą wszystkiego. To mnie właśnie, jako plastyka, napawa kompleksami.

W plastyce też mam środki abstrakcyjne, ale nie mam jednego wymiaru – czasu. Pewnym ekwiwalentem jest za to momentalność przekazu.

– Te kompleksy nie ułatwiają chyba pracy twórczej, a jednak pracujesz przy muzyce. Taśma, płyta, radio są składnikami Twego warsztatu pracy.

– Muzyka, jako sztuka abstrakcyjna niesie te treści, których szukam. Jeżeli mam jakiś problem do rozwiązania natury etycznej, filozoficznej czy ideowej, to muzyka nastraja mnie odpowiednio do poszukiwania rozwiązania, podpowiada mi pewne refleksje. Jeżeli chcę namalować obraz, to oczywiście nie będzie on ilustracją tego, co myślę, co chcę przekazać. Jak każdy malarz plastyk szukam rozwiązania ponad incydentalnego, jakiejś syntezy zdarzenia. Słuchając muzyki przestaję się z odczuwania incydentów na „muzyczne” odczuwanie wydarzeń, tzn. na wysoki stopień abstrakcji. Czasami jest to operacja wprost, tzn. pewne układy dźwięków dają się doskonale przetworzyć na układy kolorów, rytmy, kontrasty, harmonie itd. Podobnie było w przypadku Aleksandra Skriabina. Przede wszystkim jednak muzyka zmienia mnie – kogoś, kto jest zagoniony pomiędzy incydentami, pomiędzy mlekiem, mięsem, tymi wszystkimi codziennymi głupstwami i komu trudno jest przejść na etap wyższy. Sądzę, że nasze trudności oglupiają nas, ściągają w dół. W takim trudnym, jak obecnie, okresie albo musimy robić złą sztukę – bezpośrednią ilustrację dzisiejszych konfliktów, albo wyrobimy sobie dystans do naszej trudnej codzienności i zdobędziemy się na syntezę. Parominutowe słuchanie muzyki tworzy we mnie dystans do rzeczywistości, pozwala zapomnieć o sprawach uważanych za najważniejsze.

– Czy cała muzyka w ten sposób funkcjonuje, czy dokonujesz pewnych wyborów?

– Jestem właściwie konserwatystą; muzyka, której się nauczyłem w wieku szkolnym, służy mi obecnie na wszelkie okazje. Jest to muzyka od Vivaldiego do Rachmaninowa; nie lubię muzyki wcześniejszej i późniejszej z wyjątkiem niektórych utworów Pendereckiego i pewnych kompozycji tworzonych na syntezatorach.

– Sądząc z Twojej preferencji czarnego krążka i taśmy, właśnie ten typ kontaktu gwarantuje Ci najsilniejsze doznania estetyczne?

– Najmocniejsze przeżycia wynoszę jednak z sali. A że nie chodzę do Filharmonii, nie jest to wynikiem mojej oceny poziomu wykonawczego, bo po prostu nie bardzo się na tym znam i muzykę odbieram raczej intuicyjnie. To co uniemożliwia mi chodzenie do Filharmonii to rygor, to że muszę wybrać się w określonym dniu na określoną godzinę i na ściśle określony program. A w domu nastawiam płytę z taką muzyką, na jaką mam aktualnie ochotę. Trudno mi natomiast zaplanować nastrój na godzinę dziewiętnastą w piątek już na dzień czy dwa naprzód. Powtarzam jednak – największe, najpełniejsze przeżycia wyniosłem z sal koncertowych.

– Utrwalone na płycie wykonanie utworu jest ciągle takie samo, jest więc na swój sposób martwe. Czy nie masz chęci czasem na konfrontację płyty z żywym wykonaniem?

– Mam inne, nieprofesjonalne podejście do muzyki; nie interesuje mnie, czy coś się zmienia w tej muzyce w poszczególnych wykonaniach, dlatego że traktuję ją jako materiał, który sam przetwarzam. Słuchając tej samej płyty kilkakrotnie w różnych stanach emocjonalnych, odbieram ją zupełnie inaczej. Dlatego też nie może ona być martwa, ja ożywiam ją słuchając. Nie przeszkadzają mi nawet trzaski i szumy starej płyty, ponieważ je odfiltrowuję; zostaje sama muzyczna substancja, którą dopiero przetwarzam. Nie szukam indywidualności wykonania, szukam muzyki.

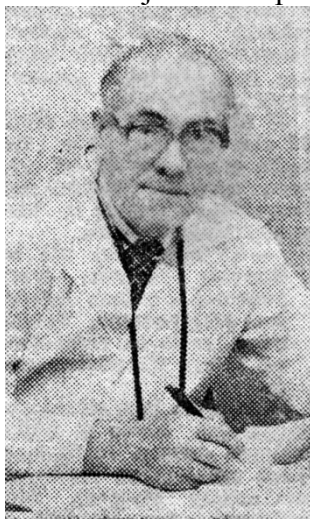
– Niepokoi mnie fakt, że twórca współczesny skoro jest mu muzyka potrzebna, zamyka się przed muzyką współczesną.

– Muzyka współczesna jest dla mnie w większości czymś sztucznym, wykoncypowanym. Sądzę, że weszła w ślepią uliczkę. Niektórzy kompozytorzy próbują wyjść z tego zaułka cofając się i zrywając z awangardą, zrywają z przeformalizowaniem, przeintelektualizowaniem otwierając się ponownie na romantyzm. Rezygnują z priorytetu nowatorstwa. Podobnie rzecz ma się z plastyką. Jeżeli zakłada się zrobienie czegoś nowego, to prawdopodobnie powstanie albo bzdet, albo rzecz stara. Natomiast, jeżeli celem jest przekazanie nowego uczucia, wtedy nie da się tego zrobić starymi środkami i faktycznie powstaje nowe.

## **Rozmowa z Marianem Killarem, doktorem medycyny, pułkownikiem w stanie spoczynku [już nieżyjącym].**

– Moje związki z muzyką zaczęły się w dzieciństwie – mając osiem czy dziewięć lat rozpocząłem naukę gry na fortepianie, którą kontynuowałem w Sanoku w filii Lwowskiego Konserwatorium. Jednocześnie chodząc do gimnazjum grałem w istniejącej tam orkiestrze. Bliski kontakt z muzyką trwał aż do wybuchu II wojny światowej, kiedy musiałem przerwać studia muzyczne rozpoczęte we Lwowie. I to właściwie wojna zadecydowała, że wybrałem ostatecznie medycynę, jako coś konkretnego i bardziej w owych czasach potrzebnego.

– Po wojnie nie zapomniał Pan o muzyce?



– Dopiero w latach pięćdziesiątych mogłem wrócić do muzycznych zainteresowań, kupiłem pianino i przypomniałem sobie – oczywiście tylko dla własnej satysfakcji – to czego uczyłem się w konserwatorium. Muzyka stała się dla mnie środkiem odpoczynku, przestrajania się na inny rodzaj myślenia, odczuwania. Stała się po prostu potrzebą.

– Kojarzenie medycyny z muzyką ma swoją długą historię, a zarazem i dzisiaj tu, w Białymstoku, obserwujemy te związki na kilku płaszczyznach. Najlepszy od dawna chór akademicki to przecież Chór Akademii Medycznej, wielu absolwentów średniej szkoły muzycznej trafia na studia medyczne, wreszcie wśród lekarzy sporo jest melomanów. Zdanie lekarza, któremu muzyka jest bliska, byłoby szczególnie interesujące

– Jest to bardzo korzystne, a może nawet potrzebne, jeśli lekarz łączy swój zawód z jakąś dziedziną sztuki. Może wynika to z tego, że kiedyś medycyna była traktowana także jako sztuka. Historia medycyny mówi nam, iż wielu wybitnych lekarzy uprawiało którąś z gałęzi sztuki, czy to było malarstwo, muzykę czy poezję. Świadczy to o tym, iż byli oni zdolni do głębszych przeżyć, do sięgania w głąb ludzkiej natury, co pomagało im chyba nawiązywać bliższy kontakt z człowiekiem.

Jeśli chodzi o mnie, to muzyka stwarza tak głębokie przeżycia, tak silne bodźce, iż są one w stanie przytłumić każdy, zwłaszcza negatywny bodziec płynący z codziennego życia. W tych trudnych czasach jedynie muzyka może mnie przestawić w ten sposób, iż zapominam o wszystkich trudnościach i kłopotach.

– Jeżeli udajemy się do lekarza jako pacjenci, oczekujemy zrozumienia i wrażliwości na nasze cierpienia. Nie chcemy być jeszcze jednym „przypadkiem chorobowym” lecz w tym momencie, w lekarskim gabinecie – jedynym przedmiotem troski lekarza. Z tego, co Pan powiedział wynika, iż w naszym – pacjentów interesie jest, by jak najwięcej lekarzy uprawiało jakąś dziedzinę, sztuki, lub przynajmniej z nią obcowало.

– Myślę, że muzyka regeneruje pokłady wrażliwości zużywane codziennie przez lekarzy, a tym samym jest dodatkowym lekarstwem i dla lekarza, i dla pacjenta. Zresztą już od dawna znano terapeutyczne działanie muzyki. Już sławny Avicenna tysiąc lat temu próbował leczyć muzyką, sam komponował pieśni, by ulżyć w cierpieniach swoim pacjentom.

Można wskazać i starsze jeszcze ślady muzykoterapii w pradziejach, kiedy uzdrowicielska działalność czarowników wspierana była w pewnej mierze muzyką, śpiewem. W Polsce

muzykoterapia nie zyskała jeszcze szerokiego uznania i tylko kilka ośrodków nią się zajmuje. Na Zachodzie czy nawet w NRD stosuje się ją w znacznie większym zakresie. Żeby jednak zabiegi muzykoterapeutyczne były skuteczne, muszą współdziałać ze sobą psycholog, muzykolog i lekarz. Obecny kierunek rozwoju medycyny, jej technicyzacja, nie sprzyja popularyzacji muzykoterapii. Zaczyna się gubić pacjenta i jego sferę psychiczną. A przecież owa komputeryzacja czy automatyzacja, chociaż znakomicie pomaga w określeniu stanu fizycznego chorego, to jest bezużyteczna w określaniu jego stanu psychicznego. Do tego niezbędny będzie zawsze lekarz – człowiek, głęboko wrażliwy mimo codziennych uciążliwości i bodźców stępujących tę wrażliwość.

– Jaką muzyką regeneruje Pan swoją psychikę i jakie wrażenia muzyczne najsilniej zapisały się Panu w pamięci?

– Przed wojną wielkim przeżyciem były dla mnie występy skrzypka Józefa Cetnera<sup>1</sup>. Z pianistów najsilniej przeżyłem chyba recitale Zbigniewa Drzewieckiego, który miał ze mną w zastępstwie parę lekcji w okresie lwowskim. Utrwały mi się także pierwsze spotkania z operą; dużym przeżyciem było *Jeziro łabędzie* oglądane w Teatrze Wielkim w Moskwie. No i muzyka symfoniczna, z tym że nie mogą zburzyć wewnętrznej bariery dzielącej mnie od muzyki współczesnej. W Łodzi miałem szczęście być na koncercie Artura Rubinsteina. Przeżyłem bardzo głęboko – już w naszej Filharmonii – występ Światosława Richtera. Z innych białostockich imprez wiele przeżyć dały mi Festiwale Muzyki i Poezji.

– Jaka muzykę najchętniej słuchałby Pan w naszej Filharmonii?

– Odczuwam brak w repertuarze białostockiej orkiestry muzyki skandynawskiej – Griega, Sibeliusa. Z drugiej strony bardzo lubię muzykę barokową i klasyczną. Zawsze głęboko mnie wzrusza muzyka Chopina, nie opuszczam żadnego koncertu z jego muzyką. A jeżeli chodzi o gatunki, to najbardziej interesuje mnie muzyka fortepianowa i symfoniczna, a także skrzypcowa, ale na bardzo wysokim poziomie. Lubię, także muzykę organową i przeznaczoną na instrumenty dęte drewniane.

## **Rozmowa z Adamem Walickim, socjologiem kultury, starszym asystentem w Ośrodku Badań Naukowym w Białymstoku.**



– Muzyka, tak w ogóle, jest dla mnie środkiem, który doprowadza mnie po dniu pracy do stanu wewnętrznej harmonii, umożliwia przejście do świata wyobraźni, bajki i powiązanie życia z marzeniem. Muzyka daje mi też zapomnienie o codziennych troskach.

Mój prawdziwy kontakt i muzyką rozpoczął się równocześnie z przejściem z etapu "brania" na etap "dawania", tzn. po ukończeniu studiów, kiedy zacząłem pracować. Każda ze sztuk oddziałuje na mnie podobnie, jeśli chodzi o rezultat, natomiast sama forma tego oddziaływania poprzez dźwięki, a więc zmysł słuchu, jest pewnego rodzaju luksusem. Słuchając muzyki mogę wyłączyć zmysł wzroku, który jest straszliwie obciążony, jako że odbiera 90 procent wszystkich bodźców (zmysł słuchu tylko 5 procent, a reszta przypada na pozostałe

<sup>1</sup> Józef Cetner (ur. 17 II 1887 w Tarnopolu – zm. 5 VII 1965 w Krakowie), skrzypek i pedagog. Studia we Lwowie i Wiedniu. Profesor konserwatorium w Katowicach (1923-39) i PWSM we Wrocławiu (od 1957). Autor publikacji dydaktycznych. Do jego uczniów należał m.in. Edward Statkiewicz, wybitny polski skrzypek, laureat międzynarodowych konkursów skrzypcowych w Berlinie, Poznaniu i Paryżu.

zmysły). Wylączając się zatem niemal zupełnie z otoczenia, odbieram jednak pełnię wrażeń estetycznych. Czyż to nie luksus?

- Twoje muzyczne upodobania, jak zdążyłem się zorientować, są bardzo różnorodne i obejmują właściwie wszystko, co jest muzyką dostępną na płytach, kasetach, w radio — od renesansu do współczesności, od klasyki poprzez jazz do gatunków muzyki młodzieżowej. Jak wykorzystujesz tak bogaty arsenał?

- Podstawowym repertuarem służącym do osiągnięcia owego stanu wewnętrznej harmonii są gatunki klasyczne, tzn. cała muzyka do lat trzydziestych naszego stulecia, do powstania dodekafonii i muzyki serialnej. Od tego momentu muzyka zmusza mnie do włączania się nie tylko swoją wrażliwością. Gatunki nieklasyczne — jazz, rock and roll czy pozostałe — odbieram jako zjawiska istniejące w kulturze.

Z muzyki klasycznej najbliższy jest mi barok; coraz bardziej skłaniam się do muzyki renesansowej, być może dlatego, że szukam w muzyce pewnej ciągłości, harmonii, a nie większej amplitudy ekspresji. Z repertuaru romantycznego ponad wszystko cenię Chopina. Chopin jest po prostu — to może niewytłumaczalne — ponad całą muzyką.

- Stereofoniczna technika Hi-Fi umożliwia zbliżenie się do muzyki w całej jej krasie, bez potrzeby odbywania kłopotliwych często podróży do sal koncertowych. Jako meloman i entuzjasta techniki Hi-Fi, a zarazem socjolog kultury, czy dostrzegasz zagrożenie dla tradycyjnego życia muzycznego ze strony właśnie techniki przekazu dźwięku, która na Zachodzie i Wschodzie (Japonia) osiągnęła już właściwie absolutną doskonałość? Z obserwacji polskich wynika bowiem, że zwiększonemu popytowi na płyty i sprzęt stereofoniczny wyższej klasy towarzyszy zmniejszony popyt na bilety do filharmonii.

- Przede wszystkim w grę wchodzi tu komfort. W tak trudnych czasach jak obecne, liczy się każdy wysiłek. Muzyka zarejestrowana umożliwia przeżycie w warunkach luksusu, pełnego komfortu, bez specjalnego wysiłku. Pusta sala Filharmonii, moim zdaniem, to rezultat głównie repertuaru, nie dość agresywnej reklamy i utrudnionego dostępu do kas biletowych — ulica Podleśna nie leży przecież w centrum miasta. Nie sądzę natomiast, by wzrost poziomu technicznego aparatury i jej rozpowszechnienie miało stanowić zagrożenie dla żywych koncertów. Podobno w Nowym Jorku jedyną kolejką, jaka się regularnie ustawia, jest kolejka po bilety do Metropolitan Opera. Bywają tam także kolejki pięciodniowe. Płyta stanowić może nawet rodzaj magnesu przyciągającego publiczność do sal koncertowych; tak przynajmniej jest w moim wypadku. Jeżeli na afiszu zobaczę utwór, który wcześniej poznałem z płyty, idę do Filharmonii, by skonfrontować swe wyobrażenie z brzmieniem naturalnym. Można wyprowadzić stąd wniosek, iż frekwencja zwiększyłaby się, gdyby na afiszach Filharmonii Białostockiej, pojawiała się więcej „płytowych” nazwisk wykonawców i tytułów.

**Rozmawiał: STANISŁAW OŁĘDZKI**